

**F A K T Y I P R O B L E M Y**

BRONISŁAW GOŁĘBIEWSKI

Uniwersytet Warszawski

**PROFESJONALIZM I FIRMA  
JAKO WARTOŚCI ETOSOWE OBYWATELA-WŁAŚCICIELA  
MAŁE STUDIUM PRZYPADKU**

Pamiętniki i biografie znakomitych rodów mieszczan polskich, w tym zwłaszcza warszawskich, składające się na niemałą już bibliotekę, stanowią nie tylko znakomity dokument dziejów społeczeństwa i kultury w Polsce, ale także wciągającą czytelnika w nurt narracji lekturę. Do tego różnorodnego bogactwa, które godne byłoby osobnego krytyczno-literackiego i historyczno-socjologicznego opracowania, wydawnictwo Bis Press dołączyło ostatnio dwutomowe *Wspomnienia warszawskiego przemysłowca* Józefa Mieczysława Pfeiffera<sup>1</sup>.

Autor, żyjący w latach 1888–1969, dokumentuje w swej relacji 270 lat dziejów rodziny fachowców garbarzy, przybyłej do Warszawy z Niemiec, charakteryzując nie tylko rozwój i historyczne perypetie rodzinnego przedsiębiorstwa, lecz także przemiany społeczno-polityczne miasta i kraju oraz kulturę w kręgach warszawskiej inteligencji.

Dzieje rodziny i autora splatają się przeto ściśle z historią i są podobne do losów i przeżyć wielu podobnych rodzin czy jednostek. Są to dzieje opowiedziane z dużym wyczuciem sytuacji i wydarzeń, widzianych przez człowieka będącego rzetelnym obserwatorem, potrafiącego w konkretach codzienności dostrzegać głębsze „znaki czasu”. Ponieważ pan Józef był nie tylko utalentowanym przemysłowcem, lecz człowiekiem mocno zaangażowanym w działalność na rzecz dobra publicznego, może być reprezentantem typu przemysłowca-inteligenta w pełnym tego słowa znaczeniu. Silny charakter, odporny na przeciwności i pułapki, których nie szczędziła historia, pozwalał mu z dużą odpowiedzialnością, ale i humorem, opisywać w pamiętnikach wiele dramatycznych, a nawet tragicznych momentów w życiu rodziny i kraju.

Adres do korespondencji: gobron@po.pl

<sup>1</sup> Józef Mieczysław Pfeiffer, *Wspomnienia warszawskiego przemysłowca*, Wydawnictwo Bis Press, Warszawa 2003, t. 1–2.

„Rodzina Pfeifferów od początku swego istnienia w Polsce — pisze autor we wstępie — była tak powiązana z przemysłem garbarskim, że w moich wspomnieniach osobistych nie sposób pominąć rozwoju i historii garbarstwa w Polsce, tym bardziej że rzemiosło to, i później przemysł garbarski odgrywał w życiu gospodarczym Polski jedną z wybitniejszych ról [...] Garbarstwo, początkowo zaliczane do rzemiosła, stopniowo rozwijało swą produkcję, modernizując i wprowadzając mechanizację, przekształcało się w duży przemysł. Mylnie było podane w niektórych wydawnictwach, nawet państwowych, że przemysł ten jest pierwotny i zacofany [...]! Niestety, posiadany przeze mnie stary materiał osobisty, jak i Polskiego Związku Przemysłowców Garbarzy oraz bardzo dokładne dane dotyczące tego przemysłu zostały całkowicie zniszczone w czasie Powstania Warszawskiego w 1944 roku. Opisywanie więc różnych fragmentów mego życia i zdarzeń z konieczności opieram na wspomnieniach osobistych i pamięci. Częściowo też szereg spraw uzgadniałem z wieloma osobami z tamtego okresu, które pozostały jeszcze przy życiu” (s. 7–8).

Wspomnienia rozpoczynają się od charakterystyki pochodzenia rodu, od czasu gdy jako wędrowny rzemieślnik-garbarz, w okresie wzmożonego napływu do Warszawy przedstawicieli mieszczaństwa francuskiego, włoskiego, niemieckiego i różnych innych nacji, przybył do Polski Walter Pfeiffer (1712–1796). Założył warsztat garbarski w 1727 r. przy ul. Leszno róg Orlej. W Warszawie znalazł żonę Polkę, z którą miał dwóch synów, młodszy z nich Jan Chrystian (1757–1841) poprowadził garbarnię, rozwijając fabrykację skór już sposobem przemysłowym. I znów młodszy z synów Jan Karol (1804–1864) poprowadził dalej fabrykę na Lesznie, a drugi starszy syn Jan Henryk (1789–1861) założył nową fabrykę na ul. Nowolipie, którą przejął i poprowadził Stanisław Fryderyk (1819–1890), dziadek autora pamiętnika.

Fabryka rozrastała się, przystępowali do spółki inni garbarze, ale w sumie była to firma Władysława Ignacego (1854–1898) i Stanisława Leopolda (1856–1929) — ojca autora pamiętnika. W pamiętniku czytamy:

„Po śmierci Władysława Ignacego weszli do spółki jego: synowie jako II pokolenie Pfeifferów: Władysław Aleksander (1881–1936), Bolesław Kazimierz (1885–1932) i Kazimierz Ludwik (1893–1963), a następnie synowie Stanisława Leopolda: Stanisław Aleksander (1885–1936) i Józef Mieczysław (1888–) — czyli ja” (s. 23).

#### PFEIFFEROWIE POLSKIMI PATRIOTAMI

Warto spojrzeć na ten rytm następstwa sześciu pokoleń Pfeifferów, nie tylko bowiem wiele nam to mówi o przywiązaniu do rodzinnego fachu, ale także o asymilacji do polskości — poprzez małżeństwa, ale bez porzucania wyznania ewangelickiego — o szybko kształtującym się polskim patriotyzmie. Na przykład już w drugim pokoleniu syn protoplasty rodu wspiera finansowo insurekcję kościuszkowską, o czym w pamiętniku czytamy:

„Gdy w 1794 r. organizowała się dla obrony Rzeczypospolitej Insurekcja Kościuszkowska, w subskrypcji na cele wojenne między obywatelami Warszawy od cechu garbarzy występuje Pfeiffer [Jan Chrystian] i składa 5775 złotych polskich, która to suma była jedną z największych złożonych od mieszczaństwa. Mniemamy, że zaznaczony w ten sposób udział w organizacjach i działalności społecznej był zapowiedzią dalszej solidarności ze społeczeństwem i poczucia obowiązku względem przybranej Ojczyzny”.

Pfeiffer z piątego pokolenia, stryj autora pamiętnika, był nie tylko polskim patriotą, ale także organizatorem pomocy społecznej, oświaty, bankowości spółdzielczej, autorem fachowych artykułów:

„Mieczysław Sylwester (1861–1918), inżynier, studiował (1879–1884) razem z bratem Aleksandrem na Politechnice w Rydze, na wydziale handlu. Tam w 1883 r. obaj należeli do współzałożycieli Polskiej Korporacji Akademickiej «Wenecja». W 1889 r. Mieczysław założył w Warszawie razem z inżynierami Andrzejem Łubieńskim i Gustawem Potworowskim firmę «Perkun», fabrykę motorów dla potrzeb rolnictwa. W okresie I wojny światowej (sierpień 1914 – kwiecień 1915) był członkiem Komitetu Obywatelskiego, a w sierpniu tegoż roku został uwięziony przez Niemców jako zakładnik. W latach 1907–1917 należał do Zarządu Głównego Polskiej Macierzy Szkolnej (trzeba jednak dodać, że od stycznia 1908 r. do 20 kwietnia 1916 r. organizacja była zawieszona przez władze). Był współzałożycielem i przez dwa lata Prezesem Towarzystwa Kolonii Letnich dla ubogich dzieci m. Warszawy. Należał także do współzałożycieli i członków Rady Banku Towarzystw Spółdzielczych w Warszawie przy ul. Jasnej (tzw. bank pod orłami, gmach ten istnieje do dziś). Przewodniczył również Komisji Szacunkowej Przemysłowej Głównej Towarzystwa Przemysłowców Królestwa Polskiego. Opracował też kilka artykułów na temat garbarstwa w *Przeglądzie Technicznym* i *Kalendarzu Garbarskim* na rok 1904. Ożeniony był z Marią Jadwigą Maciejewską (1869–1936)”.

Dzieciństwo i młodość — aż do ożenku w 1911 r. w wieku 23 lat — autor pamiętnika spędził w domu rodzinnym przy ul. Smoczej 43, obok fabryki. Uczestniczył w strajku szkolnym, który rozpoczął się 19 lutego 1905 r., by po ukończeniu renomowanej szkoły Rondthaler podjąć praktykę w 1906 r. w rodzinnej fabryce, najpierw jako prosty robotnik, poznając wszystkie fazy produkcji, następnie zdając egzamin czeladniczy, który był tylko półmetkiem etapu zdobywania kwalifikacji zawodowych. Cekał Józefa instytut w Wiedniu:

„Następnie Ojciec mój zawiózł mnie do Wiednia do Instytutu Naukowo-Badawczego Przemysłu Garbarskiego, do którego sam swego czasu uczęszczał. Kierownik tej szkoły, wybitny naukowiec w tym zawodzie, doktor [Willhelm] Eitner kształcił dwa pokolenia. W czasie praktyki na fabryce przechodziłem przez wszystkie warsztaty, a więc z początku warsztat mokry tj. roboty przygotowawcze, następnie samo garbowanie i w końcu wykończenie. Mój egzamin na czeladnika stanowił: majstersztyk wykończenia skór kolorowych baranich na galanterię. Po zdaniu egzaminu i przyjęciu próbnej partii skór musiałem się wkupić i naturalnie nie obeszło się bez bibki z dużą ilością alkoholu. Obecni byli wszyscy czeladzie z naszej fabryki, a było ich kilkadziesiąt. Zwyczaj ten wymagał,

żeby na tę uroczystość byli zaproszeni wszyscy majstrowie oraz przedstawiciele Cechu garbarskiego. Następnie pod kierunkiem starego majstra Hartmana, specjalisty od garbowania chromowego i farbiarza, pracowałem w laboratorium fabrycznym. Gospodarzem fabryki był wtedy F. Przybyszewski, z którym robiłem pierwszy opis i pomiary urządzeń fabrycznych”.

Charakterystyczny rys okresu socjalizacji autora: bywał z rodzicami w Wiedniu, w Zakopanem, w Jugosławii, Berlinie, Kołobrzegu, Ostendzie, Middelkerhe nad morzem w Belgii, jak na bogatą rodzinę mieszczańską przystało. Ale fach musiał poznać od podstaw, od prac wykonywanych na różnych stanowiskach przez robotników, następnie po egzaminie czeladniczym zdobywać umiejętności kierownicze majstra grabarskiego, by wreszcie przejść szkolenie na najwyższym poziomie w najlepszym instytucie europejskim w tym fachu. Tu nie było ulgi. Nie było protekcji, wszystko trzeba było nie tylko teoretycznie poznać, lecz samemu fizycznie doświadczyć. I to się zaczynało wcześniej, jeszcze w dzieciństwie, w towarzystwie ojca i z jego inspiracji, ale także wśród zwykłych robotników, o czym autor pisze:

„Rodzice nasi bardzo umiejętnie nas wychowywali. Ojciec traktował nas raczej jak przyjaciół i nigdy nie obrażał naszej godności. Wciągał nas w krąg swoich zainteresowań i wtajemniczał w sprawy nie tylko życia codziennego, ale i w społeczne oraz fabryczne. Fabryka była przez nas kochana i najmilszym miejscem przebywania. Po jej terenie plątałyśmy się przez wszystkie wolne chwile od nauki i innych zajęć. Robotnicy odnosili się do nas bardzo przychylnie, zaznajamiając nas ze swoją robotą i pozwalali puszczać w ruch maszyny. Ojciec zawsze chciał być z nami i korzystać z każdej okazji i wolnej chwili, żeby być razem. Tak samo było z wyjazdami”.

Wyjazdy za granicę miały funkcje bardzo różnorodne, nie tylko wypoczynkowe i turystyczne, lecz także poznawcze i zaznajamiające z „wielkim światem” od wczesnych lat. Dzięki temu przemysłowiec z Warszawy w szóstym pokoleniu był w pełnym tego słowa znaczeniu osobą obytą z Europą, jednostką o wysokiej kulturze i wiedzy humanistycznej, nie tylko techniczno-zawodowej. Na przykład jako dwunastoletni chłopiec w 1900 r. przez dwa tygodnie był obecny ze starszym bratem i rodzicami na słynnej Wszechświatowej Wystawie. Oto pamiętnikarski zapis tego pobytu:

„Ojciec zaraz zaprowadził nas do katedry, ale mogliśmy oglądać ją tylko z zewnątrz, bo mieliśmy zbyt mało czasu. Katedrę tę budowano przez trzysta lat; była największą w Europie, po katedrze w Rzymie. W Paryżu mieszkaliśmy prywatnie na ulicy d'Enfer Rochereau. Pierwszy tydzień był poświęcony wystawie. Nas interesowały przede wszystkim maszyny, koleje i w ogóle przemysł. Matka nasza oglądała konfekcję itp. Spotykaliśmy się na obiedzie, podczas którego dzieliliśmy się wzajemnie naszymi wrażeniami. Ciekawy na wystawie był dział armat i okrętów. Na jednym stoisku pokazywano jak nowe pociski przedziurawiają bardzo grube pancerze. Trochę dalej były wystawione płyty pancerne, których kule nie przebijały, tylko się spłaszczają. Każdy reklamował swoje specjalności. Bardzo ciekawa była wystawa lokomotyw i wagonów kolejowych, była

ona położona dalej w lasku Vincennes. Oglądanie wystawy przez cały dzień było bardzo męczące, toteż wieczorem już nigdzie nie wychodziliśmy. Następny tydzień był przeznaczony na zwiedzanie Paryża, który Ojciec dobrze znał z czasów swojej tam praktyki. Pokazał nam wszystkie osobliwości tego miasta. Pamiętam, że największe wrażenie zrobił na nas grób Napoleona u Inwalidów, potem katedra Notre Dame. Nie starczyło czasu, aby można było wszystko obejrzeć. Dużą przyjemność mieliśmy jadąc po ulicach Paryża na dachu wielkich autobusów zaprzęgniętych w trzy konie. Obejrzeliśmy, ale tylko powierzchownie l'Arc de Triomphe na placu de l'Etoile, plac Bastylli, Bois de Boulogne, muzea, między innymi Cluny, Arts et Métiers, galerię obrazów w Louvre ze słynną rzeźbą Wenus z Milo bez obu rąk, rzeźby Rodina w Ogrodzie Luksemburskim, Panthéon ze słynnym wahadłem. Wjechaliśmy też na najwyższą platformę wieży Eiffla. Oglądaliśmy także wiele innych atrakcji”.

Pan Józef zakochał się w Marylce Gebethner, córce znanego warszawskiego wydawcy. Panna Gebethner, o której już jako mąż napisze, że „nie była pięknoscią, ale miała taki wdzięk i tyle uczucia, że trudno było Jej nie kochać” (s. 75), była bardzo dzielną obrończynią Polski, podczas nauki na pensji w Neüchâtel w Szwajcarii, zdobyła się na nie byle jaką odwagę, o czym w pamiętniku czytamy:

„Ponieważ Marylka znała język francuski już przedtem, mogła prowadzić rozmowy i dyskusje z tamtejszymi profesorami. Raz podczas jednej z takich rozmów pokłóciła się ze swoim profesorem na temat Polski. Sprawa doszła aż do rektora, który wezwał Marylkę i powiedział: jeżeli tak broni swoich zapatrywań, to niech wygłosi referat wobec całego gremium profesorskiego. Co też uczyniła. Mówiła prawie godzinę. Gdy skończyła, dostała wielkie brawa i powinszowania, gdyż to co opowiadała było dla wielu słuchających zupełną rewelacją. Poza tym byli zdziwieni, że polska panienska mówi tak płynnie doskonałą francuszczyzną. Jak się później okazało, stała o całe niebo wyżej intelektualnie od wszystkich innych uczennic, a było ich tam sporo przybyłych z całego świata, nawet kilka egzotycznych panienek. Po roku zachorowała na zapalenie ślepej kiszki. Stan był bardzo groźny i nie czekając na przyjazd matki zrobiono operację. Pamiętam jak się dowiadywałem o stan Jej zdrowia, a dowiedziawszy się, że zagrożenie minęło, doznałem dużej ulgi. Był to początek wzrastającej sympatii”.

Życie codzienne młodego małżeństwa zamożnych mieszczan Pfeifferów? Zdziwiał bogactwo uczestnictwa w kulturze. Przed wszystkim teatr, z wymienieniem nazwisk wielkich aktorów, tytułów sztuk, opera, wiele czasopism krajowych i zagranicznych, czytanych i przeglądanych, książki, ale także raz na tydzień gra w brydża, życie towarzyskie w formie wzajemnych odwiedzin. Warto przytoczyć fragmenty z pamiętnika ukazujący zakres dostępu Pfeifferów do polskich i światowych czasopism:

„Abonowaliśmy dużo czasopism. A więc wszystkie krajowe jak *Tygodnik Ilustrowany*, *Naokoło Świata*, *Bibliotekę Dzieł Wyborowych*, *Świat*, *Ateneum*, *Kmiotek*, *Mucha*, *Chimera* a też wydawnictwa popularnonaukowe nakładem Trzaski, Everta i Michalskiego jak *Biblioteka Wiedzy*. Z zagranicznych najlepsze było *Illustration*

*Francaise, Lectures pour tous, Je sais tout, La vie parisienne* z doskonałymi rysunkami Herouara. Z angielskich *Graphic, London News, Sphere*. Poza tym mieliśmy do wglądu cały szereg innych zagranicznych pism, które przysyłano z księgarni Gebethnera i Wolffa w czwartek lub w piątek do pani Gebethner do przejrzenia. W sobotę zaś księgarnia wysyłała je już do abonentów. Z niemieckich pism prenumerowaliśmy *Das Magasin*, humorystyczne *Fliegende Blätter, Meysendorfer Blätter*, czasami *Simplicissimus*, które często było konfiskowane z powodu różnych dowcipów dotyczących rządu niemieckiego, wybitnych osobistości, a nawet samego Wilhelma II. Cały szereg tych pism po przeczytaniu przez nas wypożyczała rodzina i znajomi. Wiele już nie wracało z powrotem. Z dzienników oprócz krajowych jeszcze francuskie *Matin, Gringoire*, to ostatnie najwięcej mi odpowiadało, bo przedstawiało Anglików w odpowiednim świetle, wytykając im rozmaite «szopki». Dziadek mój, Aleksander Temler abonował *Le Figaro*, które czytał z dużym zainteresowaniem. W późniejszych latach przychodziła lektorka, bo samodzielne czytanie już go bardzo męczyło”.

Sądzę, że brakuje naukowego opracowania kulturotwórczej roli rodów mieszczańsko-przemysłowców, nie tylko warszawskich. Ten dwutomowy pamiętnik zawiera wiele materiału cennego dla ewentualnego autora takiego studium. Nie jest to dzieło piśmiennicze odosobnione w rodach przemysłowców, dziadek autora ze strony matki, ten, który był zapalonym czytelnikiem „*Le Figaro*”, też był autorem cennych pamiętników, które niestety pochłonęła druga wojna światowa. W pamiętniku czytamy:

„Dziadek Aleksander Temler (1825–1917) pozostawił bardzo cenne pamiętniki, które niestety zaginęły w czasie drugiej wojny światowej. Pozostały tylko listy pisane z jego licznych podróży do Egiptu, Jerozolimy, Grecji i Turcji, które odbywał z [Ludwikiem] Norblinem i [Ludwikiem] Szvede w 1886 roku. Następne podróże do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w 1893 roku na wystawę ze swym szwagrem [Ferdynandem] Hoesickiem i synem Aleksandrem. Listy te zawierały bardzo szczegółowe opisy zwiedzanych miast i miejscowości i mogłyby służyć jako przewodnik dla zwiedzających. Pisane były do żony Emilii Wilhelminy z domu Granzow (1836–1925). Było w nich dużo czułości rodzinnej. Był też szereg listów od 1872 roku do ostatnich jego lat, z podróży dziadka i rodziny do miejscowości kuracyjnych w kraju i za granicą. Zaginione pamiętniki były nie tylko wspomnieniami rodzinnymi, ale stanowiły opisy powstawania różnych instytucji, w których dziadek brał udział jako założyciel oraz opisy życia społecznego i gospodarczego ówczesnej Polski, a w szczególności Warszawy. Po wycofaniu się z czynnego życia Jana Temlera, jego dwaj synowie przenieśli fabrykę na ulicę Okopową 78 i wspólnie z Ludwikiem Szvede założyli już nowoczesną, racjonalną i zmechanizowaną garbarnię, która następnie przeszła w roku 1879 na *Towarzystwo Akcyjne Fabryki Garbarskiej Temler i Szvede*. W 1948 garbarnia została upaństwowiona i weszła w skład *Warszawskich Zakładów Garbarskich*, jako Garbarnia Nr 1”.

Oczywiście, przemysłowcom nie brakowało na początku XX wieku i później kłopotów ze strajkami robotniczymi podsycanymi przez partie polityczne. Prymat w garbarstwie firmy Pfeifferów w Warszawie nadwerżył strajk z lata

1907 r., który trwał aż trzy miesiące, objął wszystkie garbarnie warszawskie, a u Pfeifferów z tej przyczyny zepsuło się ponad 3000 skór bydlęcych i dużo miękkiego towaru skózanego. Strajkujący przez pewien czas więzili rodzinę Pfeifferów w mieszkaniu, dopiero wypłata pożyczki po 10–15 rubli strajkującym przerwała ten ostry konflikt. Były to końcowe akordy rewolucji 1905–1907 r., szalało bezrobocie, spadek zarobków, straty rynków zbytu na rzecz garbarzy z Rygi, Petersburga, głód w rodzinach robotniczych. Rozładowanie strajku przyszło niespodziewanie, choć jego inicjator przypłacił to życiem:

„Strajk zakończył pewien idealista narodowiec, niejaki Baranowski z Łodzi, który widząc nędzę wśród robotników i chęć ich przystąpienia do pracy, w czym przeszkadzały im partie, wystąpił z inicjatywą, że może zakończyć strajk, ale trzeba robotnikom pomóc dając im dużą pożyczkę długoterminową. Ojciec mój przyznał mu rację i zgodził się wypłacić większe sumy w formie pożyczki, które później zostały im darowane. Radość wśród robotników była szalona, a specjalnie zadowolone były ich żony, które już znikąd nie mogły otrzymać kredytu na zakup żywności dla siebie i dzieci. Po zakończeniu tego strajku wszystkie sklepiki zaraz przywróciły kredyty, orientując się, że jak fabryka ruszy, ludzie znowu zarabiać. Na drugi dzień po zakończeniu strajku robotnicy urządzili uroczystości polegające na nabożeństwie w kościele św. Augustyna na Nowolipkach, następnie na dobrym jedzeniu, piwie i wódki w bardzo dużych ilościach (naturalnie za pieniądze fabryczne). Wszyscy właściciele i dyrekcje musiały przy tym asystować i brać udział. W ogólnej radości był też moment bardzo smutny: partie widząc, że tracą panowanie nad ogółem pracowników zemściły się strasznie, zabijając Baranowskiego, w kilka dni po zakończeniu strajku. Pogrzeb wyprawiono mu wspaniały, a fakt tego zabójstwa jeszcze bardziej odsunął robotników od partii”.

### SPLIT DZIEJÓW RODZINY, FABRYKI I KRAJU

Pod względem formalnym pamiętnik pana Józefa jest swego rodzaju „przekładaniem” treści ogólnohistorycznych, dziejów branży grabarskiej, dziejów fabryki „Bracia Pfeiffer”, rodziny bardzo licznej i ceniącej sobie więzi pokrewieństwa, oraz prac i wydarzeń ściśle osobistych. Trudno powiedzieć, która z tych warstw narracji autobiograficznej dominuje, choć wątki osobiste i rodzinne najbardziej „wciągają w lekturę” tej dobrej prozy autobiograficzno-dokumentalnej. Autor nie trzyma się zresztą ściśle chronologicznego porządku, często przy konkretnym temacie czy wątku wraca do przeszłości czy wybiega w przyszłość. To też ożywia i ubarwia tę prozę, która tym samym jest splotem nie tylko różnych wątków, lecz i wydarzeń w czasie.

Z dzisiejszego punktu widzenia można by rzec, że autor pamiętników i jego rodzina to byli Europejczycy o poczuciu patriotyzmu i godności Polaków oraz o ukształtowanym etosie zawodowym, odznaczający się w owym czasie profesjonalizmem na najwyższym światowym poziomie. Cała rodzina niesłychanie dzielnie zniosła trudny okres pierwszej wojny światowej, kiedy to raz Rosjanie, raz Niemcy w znacznym stopniu niweczyli dorobek przedsiębiorstwa

„Bracia Pfeiffer”. Nie szczędził też autor pamiętnika swego czasu i — w miarę możliwości — zasobów, by iść z pomocą różnym środowiskom robotniczym, rzemieślniczemu, przykładem działalność w Komisji Rozdziału Mąki i Chleba. Wszyscy w rodzinie czekali na rozwiązanie się sprawy niepodległości Polski po zakończeniu wojny, bynajmniej nie biernie, lecz rozważając, jakie potrzeby kraju mogą być najpilniejsze. Doszli do wniosku, że odbudowa kraju, a więc budownictwo, co spowodowało decyzję o zainwestowaniu środków w zakup i modernizację cegielni w Ząbkach pod Warszawą.

W momencie zakończenia wojny cegielnie były już w pełnym rozruchu, ale dla potrzeb melioracji kraju właściciele zgodzili się — za namową dyrektora Banku Gospodarstwa Krajowego — przestawić na produkcję drenów dla programu drenażu całych okolic przez spółki wodne, które niestety zbankrutowały, co doprowadziło całe przedsięwzięcie inwestycyjne Pfeifferów i spółki niemal do bankructwa. U podstaw zmiany profilu produkcji leżała w tym wypadku nie tylko naturalna kalkulacja opłacalności, lecz także ocena potrzeb modernizacji gospodarki polskiej, co niestety tak szybko nie nastąpiło.

Przewodnictwo w działaniach przedsiębiorczych i społecznych rodziny Pfeifferów przypadło autorowi pamiętnika w czasach niezwykle burzliwych: rewolucja 1905–1907, pierwsza wojna światowa 1914–1917, początki burzliwe II RP 1918–1925, druga wojna światowa 1939–1945 (w tym powstanie warszawskie i obrócenie miasta w gruzy), burzliwy powojenny okres przejściowy 1945–1947, okres PRL aż do śmierci autora w 1969 r. To zastanawiające, ile ten człowiek — przedsiębiorca-obywatel-profesjonalista — przeżył stresów, kryzysów, zabiegów o utrzymanie rodowej fabryki, marki i statusu społecznego w Warszawie, w kraju i w Europie.

Na tym burzliwym tle dziejowym życie rodzinne musiało cierpieć, choć małżeństwo z Marylką Gebethnerówną w świetle wyznań autobiograficznych autora książki było nie tylko udane, lecz szczęśliwe. Względnie szczęśliwe, nie brak bowiem w pamiętniku refleksji o „niedopieszczeniu” ogniska rodzinnego z powodu nadmiaru wysiłku wkładanego w biznes rodzinny i przygotowywanie oraz podejmowanie niekiedy bardzo trudnych decyzji, od których trafności zależało „być albo nie być”. W podrozdziale „Marylka moja Żona” autor pisze:

„Marylka bardzo często wymawiała mi, że dla mnie fabryka była i jest najważniejszą sprawą. Uważała ją za swoją «nieprzyjaciółkę», nie lubiła jej. Twierdziła, że nierzadko zaniedbywałem dom, nawet ją, kiedy prosiła mnie, żebym czasem pozostał w domu lub gdzieś z nią wyjechał, albo dłużej w domu poodpoczywał. Tłumaczyłem jej jak mogłem, że fabryka to przecież nasza żywicielka, i że ja w niej jednej sprawie ponosiłem dużą odpowiedzialność. Od mojej energii i pracy bardzo wiele zależało, szczególnie w latach kryzysu i katastrof finansowych. W gruncie rzeczy Marylka przyznawała mi rację, ale musiała trochę się pokłócić. Później niejednokrotnie mówiła mi, że bardzo ceni we mnie obowiązkowość i uznaje moją pracę, ale wolałaby mieć mnie więcej przy sobie. Wyczuwała moje nastroje, a były one często niewesołe, gdy powzięcie decyzji było trudne, nawet ryzykowne. Jednak zawsze umiałem utrafić i okazywało się, że dobrą wybrałem

drogę, wbrew wszystkim przeciwnościom, zniechęceniu braci, a nawet peszeniu mnie, postawiłem na swoim”.

W ogólności jest to tekst wspomnieniowy pełen kontrastowych not i kart. Te rodzinne, bardzo osobiste i sentymentalne (np. „Marylka moja Żona”, „Moja Matka (1862–1956)”, „Mój brat Stanisław”) sąsiadują z informacyjno-rzeczowymi relacjami zawodowymi, z działalności w Polskim Związku Przemysłowców Garbarzy, która była niełatwa, konfliktowa, a funkcja wiceprezesa czy prezesa w różnych okresach kosztowała autora wspomnień niemało wysiłków i nerwów.

Nerwów nie oszczędzała również historia. Nic dziwnego, że gdy armie bolszewickie w 1920 r. zbliżały się do Warszawy, burżuazyjna rodzina naradzała się, gdzie wyjechać ze stolicy, z której uciekało wielu. Oto symptomatyczna relacja wspomnieniowa:

„Pewnego dnia, kiedy bolszewicy zbliżali się do Warszawy, a wojsko opuściło miasto, nastąpił szalony popłoch i bałagan. Zebraliśmy się całą rodziną u Rodziców na Smoczej. Uradzono wtedy, że Rodzice z naszymi żonami i dziećmi wyjadą do wujostwa Lutków Temlerów na wieś do Wilczkowa w kaliskim, a «chłopcy» tj. Władek, Bolek i ja (Staś był wtedy we Francji), w ostatnim momencie, chociażby na piechotę, wyjdziemy z Warszawy. Wszyscy zabierali głos, każdy się mądrzył na swój sposób, jedna Marylka nic nie mówiła. Po zebraniu, gdy wszyscy już się rozeszli umówieni, jak i kiedy wyjeżdżają, zostaliśmy sami z Rodzicami. Na wychodnym Mamusia zapytała Marylkę kiedy wyjeżdża. Otrzymała odpowiedź, że zostaje. Na co Tatuś się odezwał:

— *Ja od razu wiedziałem, że Marylka Józia nie opuści.*

W ten sposób zostaliśmy, uważając, że najlepiej będzie pozostać w domu na miejscu. Choć bałem się o Żonę i o dzieci, byłem bardzo szczęśliwy i wdzięczny Marylce za to postanowienie; wszystko jedno co będzie, ale zawsze razem. Tę dewizę jeszcze niejedną raz w życiu stosowaliśmy”.

Jest w tym jakaś honorowa odwaga i determinacja obrony wartości ekonomicznych kraju i miasta, nie tylko własności prywatnej. Oczywiście, jest w tym determinacja klasowa nieprzeciętnego burżua warszawskiego, ale nie tylko. Jest on jednocześnie, w świetle pamiętnika, wybitnym ekspertem w swojej branży, nie mającym żadnych ambicji politycznych, choć potrafi celnie określić relacje „polityka–gospodarka” w okresie międzywojennym:

„Powracam znów do spraw gospodarczych. Nigdy nie zajmowałem się polityką, byłem raczej takim domorosłym politykiem i choć miałem liczne kontakty z wybitnymi politykami i możliwość wymiany zdań, to sprawy te jakoś mnie nie pociągały. Być może dlatego, że nie miałem dostatecznego wykształcenia w tym względzie. Jednak orientowałem się w różnych posunięciach polityków i widziałem ich błędy, które później fatalnie odbijały się na życiu gospodarczym kraju. Uznawałem maksymę, jak np. było w Anglii, że polityka musi dostosować się do wymagań ekonomicznych i gospodarczych kraju.

U nas było wprost przeciwnie. Na pierwszym miejscu zawsze były plany polityczne i do nich musiało się zastosować życie gospodarcze. Ten sposób rządzenia

bardzo często w skutkach okazywał się fatalny. Poza tym jednostki wybitne, stojące na czele rządu, określały, dajmy na to stan gospodarczy przemysłu i handlu, na zasadzie nocnego życia w ówczesnej modnej w okresie międzywojennym restauracji *Oaza* na placu Teatralnym, po ilości... wypitego szampana! Polityka obrony konsumenta także w skutkach była fatalna, bo zapomniano, że chcąc być konsumentem, trzeba najpierw produkować i zarabiać, stwarzać nowe walory gospodarcze, a nie prześladować przemysł przez nadmierne podatki i inne obciążenia”.

Czy tylko politycy, jak widać niezbyt poważani, podobnie jak dziś, byli blisko rodów przedsiębiorców przez wiele pokoleń zakorzenionych w warszawskim krajobrazie ekonomiczno-kulturowym? Oczywiście, nie tylko, zwłaszcza gdy ród Pfeifferów z wyboru autora pamiętnika, poprzez małżeństwo, wszedł w bliskie związki z rodem Gebethnerów — wybitnych wydawców literatury. W końcu to temu pierwszemu wspomnień pt. „Rodzina i przyjaciele” czytamy:

„Rodzina Gebethnerów znana była w Warszawie i całej Polsce z działalności wydawniczej i związana nierozłącznie z księgarnią, oraz całym ówczesnym życiem literackim i kulturalnym kraju. Założycielami księgarni byli Gustaw Gebethner i Robert Wolff w 1857 roku, obaj ze starszej generacji. Po śmierci swego ojca mój teść, pan Jan Robert, który świetnie współpracował z panem Robertem Wolffem, objął księgarnię. Pan Wolff znał doskonale nastroje i wymagania rynku czytelniczego, dlatego też wspaniale umiał zaplanować, jak wysoki miał być nakład danego wydawnictwa. Obaj panowie bardzo dobrze się uzupełniali. Gromadziła się wtedy przy księgarni, a właściwie przy rodzinie Gebethnerów, cała elita literacka, na czele z Władysławem Reymontem i Henrykiem Sienkiewiczem, którzy z okazji naszych zaręczyn napisali bardzo długie i serdeczne listy. Listy te przechowywałem u siebie jako dowód przyjaźni i serdeczności obu pisarzy. Reymont często mówił, że tak lubi przychodzić do Gebethnerów, żeby posłuchać jak panna Marylka się śmieje. Pan Gustaw Gebethner (gdy jeszcze mieszkał w tzw. domku Merliniego, na skarpie, na tyłach Instytutu Głuchoniemych) sam przygotowywał sławne nalewki Gebethnerowskie, częstował nimi brać literacką z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku, która bardzo chętnie przychodziła i zbierała się w domu Gebethnerów na tradycyjnej rybce czy bigosie”.

## GROZA OKUPACJI I POPOWSTANIOWE TUŁACTWO

Drugi tom wspomnień obejmuje okres okupacji i czasy powojenne oraz obszernie aneksy dokumentalnie wzbogacające całość. Są to już, w porównaniu do dokumentacji zawartej w tomie pierwszym, relacje skrótowe, fragmentaryczne. We wrześniu 1939 r. w czasie oblężenia Warszawy Józef Pfeiffer działał intensywnie w Straży Obywatelskiej. Po kapitulacji przestał być prezesem Związku Grabarzy, co mu było nawet na rękę, ale nie uchroniło od wezwania do gestapo na Alei Szucha. Na szczęście przebieg tej „wizyty” był nietypowy, a nawet dla autora pamiętnika dziwny:

„Na Szucha zameldowałem się na dole i po telefonicznej rozmowie dyżurnego z II wydziałem B., poszedłem na górę. Zostałem zaraz przyjęty przez jakiegoś

oficera SS, który bardzo grzecznie poprosił mnie bym usiadł. Częstoował mnie papierosem lub cygarem, ale podziękowałem jako niepalący i ze strachem oczekiwałem co nastąpi dalej. Rozpoczęła się rozmowa ogólna, czym się zajmuję, kim jestem. Miałem wrażenie, że doskonale wiedział z kim rozmawia. W końcu zapytał mnie dlaczego nie podałem się za volksdeutscha, że mam po temu wszelkie dane i prawo: niemieckie nazwisko i pochodzenie, jednocześnie ewangelik. Roztoczył przede mną jakie będę miał z tego powodu korzyści, i że on może to załatwić od ręki, bez żadnych formalności. Odpowiedź moja była prosta. Choć rodzina moja pochodziła z Niemiec, z Württembergii, to jednak od 1727 roku, kiedy nasz pradziad przywędrował do Polski, zupełnie się spolszczyła. Tu się urodziłem i wychowałem i dla interesu nie będę zmieniał narodowości ani przekonań. Raz mnie namawiano, żeby zmienić religię, też się nie zgodziłem, pomimo że cała moja najbliższa rodzina jest katolicka. Dlatego, że zajmuję takie stanowisko, ludzie mnie szanują i cenią; Teraz oczekiwałem, że «bomba trzaśnie». Na biurku leżał rewolwer i pejcz. Błyskawicznie pomyślałem, że pewno mnie teraz zastrzeli, albo da pejczem. Gestapowiec wstał, podał mi rękę i powinszował postawy, mówiąc: *ich gratuliere Ihnen, Herr Pfeiffer*. Dodał, że *diese Schweinshunde* (dosłownie: świńskie psy) volksdeutsche są uważani przez Niemców za łobuzów i karierowiczów. Było to oświadczenie dla mnie zadziwiające”.

Zwraca uwagę opis pomocy niesionej przez autora Żydom w gettcie, czemu sprzyjało graniczenie garbarni, w końcu uruchomionej, z terenem getta. Pomoc ta przybierała różne formy, przede wszystkim szmuglowania żywności, ale także wspierania Żydów ukrywających się po stronie aryjskiej. Również ucieczki z getta przez teren fabryki nie były rzadkością, o czym p. Józef pisze:

„Kilku Żydów przedostało się na nasze terytorium i mieliśmy kłopot co z nimi zrobić, bo po fabryce często kręcili się Niemcy, a za ukrywanie Żydów groziła kara śmierci. Wywoziliśmy ich z terenu do śródmieścia w ciężarówce załadowanej skórami. Wielu się w ten sposób uratowało. Niektórych nawet spotkałem po wojnie, przychodzili dziękować i odwdzięczać się. Byli też i tacy co po wojnie przysyłali nam różne rzeczy w paczkach”.

Sporo ciekawych faktów dotyczących funkcjonowania fabryki pod okupacją w Warszawie można znaleźć na kartach tych wspomnień. Dobrze, że zostały utrwalone. Znacznie więcej uwagi poświęca autor opisom powstania warszawskiego i wędrowni mieszkańców po kapitulacji z palącej się stolicy do Pruszkowa. Wcześniej, jeszcze w opisach okupacyjnej Warszawy, sporo jest faktów dotyczących podziemnej działalności Armii Krajowej, toteż powstanie dla pamiętnikarza nie było zaskoczeniem. Podobnie jak w czasie pierwszej wojny pozostał w fabryce z załogą i żoną, przeżył w wielkim napięciu z poświęceniem życia wiele. Oto jeden z charakterystycznych fragmentów:

„Zaczęło się 11 sierpnia przed południem. Zawiadomiono mnie, że AK opuszcza teren, gdyż dostała rozkaz wycofania się. Tymczasem Niemcy wzięli fabrykę pod ostry obstrzał granatnikami, pierwszy raz od początku Powstania. Wszyscy się pochowali, tylko czujki pilnowały. Około południa rozległ się dzwonek alarmowy, że fabryka się pali. Cała straż, 3 sekcje, razem 21 ludzi wybiegło na

ratunek. Uruchomiono 3 motopompy na 6 węzownic. Ludzie dzielnie bronili, ale drewniane budynki i szopy z zapasami papieru, należące do *Tekturowni*, tak szybko się paliły, że o gaszeniu nie było mowy. Wobec tego postanowiłem tylko umiejscowić ogień, poświęcając całą część północno-wschodnią fabryki od ulic Okopowej, Niskiej i Kampinowskiej. Pomiędzy dalszymi budynkami i na placach leżały zapasy drzewa dębowego, należące do Warszawskiej Fabryki Ekstraktów, przeszło dwa i pół tysiąca ton. Po wielu wysiłkach, akcja nam się udała, ale nie na długo, przy czym zginął jeden z robotników, który siedział na dachu i z daleka do niego strzelano.

Dym i żar był tak wielki, że trudno było wytrzymać. I wtedy z dymu wyłoniła się moja Żona, bardzo blada i wystraszona. Zwróciła się do mnie — Daj spokój, już nic nie poradzimy, a lepiej ludzi nie narażać. Jednocześnie dano mi znać, że jesteśmy sami na terenie bez żadnej ochrony. Wszystkie oddziały AK wycofały się. Dałem dyspozycję zaniechania całej akcji i wycofania się na tereny mieszkalne, pozostawiając tylko czujki ukryte. Byłem szalenie zmęczony. Marylka ledwo mnie prowadziła. Odczuwała co się ze mną dzieje i co przeżywam. Powróciwszy do mieszkania, ustawiłem na górze naszego domu mieszkalnego na drugim piętrze czujkę i kazałem zaraz o wszystkim co się dzieje na fabryce meldować i o ile dymy na to pozwalają mnie informować”.

Rozdział wspomnień „Powstanie 1944 roku” (t. 2, s. 364–379) mógłby się z powodzeniem znaleźć w antologii najciekawszych fragmentów polskich pamiętników z tego okresu. Skala przeżyć i doświadczeń na pograniczu życia i śmierci, a jednocześnie odwagi i poświęcenia w obronie fabryki i rodziny w płonącej powstańczej Warszawie, zwłaszcza po opanowaniu tego rejonu miasta przez hitlerowców, to wręcz scenariusz dramatycznego filmu. Na dowód przytoczę tylko dwuakapitowy fragment:

„Po drodze koło naszych budynków leżało paru zabitych Akowców, a między nimi jedna panienka bardzo młoda. Asystujący nam jeden z oficerów rewidował nieboszczyków, zabierając im tylko dokumenty i notatki. Po chwili wyszliśmy zza budynku i dopiero teraz mogli mnie moi z punktu obserwacyjnego zobaczyć, że żyję.

W górnym oknie strychu zobaczyłem Marylkę z Marysieńką. W tym momencie o mało co nie rozplakałem się głośno. Moje nerwy były już zupełnie na wyczerpaniu. Ale się opanowałem, za to łzy leciały mi ciurkiem. Patrol zaczął strzelać do wyglądających i niewiele brakowało, a postrzeliłby Marylkę. Tylko dzięki Marysieńce, która mocno matkę szarpnęła, tak że Marylka musiała kucnąć, została ocalona. Kula przeszła nad samą jej głową i utkwiała w przeciwległej ścianie. Prosiłem, żeby Niemiec zakazał strzelać, gdyż tam jest moja rodzina, a nie powstańca. Wyobrażałem sobie, jaka musiała być radość, gdy mnie zobaczyli i jak ta wiadomość rozniosła się wśród ludzi. Przez tak długi czas nie wiedzieli, co się ze mną stało. Ostatnia wiadomość była od moich czujek, że mnie nie ustrzelili od razu, że mogłem z Niemcami rozmawiać, i że mnie zabrali ze sobą”.

Autor wspomnień nie tylko próbował ratować przed pożarem i zniszczeniem fabrykę, co się nie udało, ale ochronił przed rozstrzelaniem z narażeniem własnego życia pracowników-strażaków, których rozwścieczeni hitle-

rowcy uznali za powstańców, ale tuż na ulicy, mimo interwencji autora, dwóch robotników jako powstańców bezpardonowo rozstrzelano. Rabunek piwnic, zgromadzonej tam żywności i napojów, w tym alkoholowych, a także ukrytych pół miliona złotych przez podpitych już zdobywców też o mało nie kosztował próbującego interweniować życia, odkryto bowiem wśród zapasów żywności niemieckie konserwy z napisem „Wehrmacht”. Egzekutor, wstrzymany w ostatniej chwili przez chcącego przebadać Pfeiffera esesmana, wystrzelił w powietrze, co czekająca pod drzwiami piwnicy żona odebrała jednoznacznie. Zostali wyrzuceni z domu i palącej się fabryki, dorobku tylu pokoleń Pfeifferów, 12 sierpnia 1944 r. Autor wspomnień nie dopuszczał myśli, że nigdy już do tego gniazda nie wróci, że wszystko popadnie w ruinę:

„Fabryka, tak przeze mnie ukochana, dorobek wielu pokoleń, świecąca przykładem dla innych, dająca utrzymanie wielu pokoleniom i całej masie pracowników, przodująca w przemyśle krajowym w tej branży i tak związana z naszą rodziną i z naszym nazwiskiem, teraz zmieniła się w gruzy i zgliszcza. Wszystko się paliło i rozlatywało a ja nie mogłem temu zaradzić. Opuszczałem fabrykę z ciężkim sercem”.

Dalszy szlak tułaczy prowadził rodzinę Pfeifferów przez Pruszków, skąd transportem wychodźców z płonącej Warszawy dalej przez Żyrardów, Łódź, Kalisz, Leszno, Gubin, Cottbus, Norymbergę wywieziono ich do obozu pracy. Na szczęście autor pamiętnika znał sprzed wojny niemieckiego garbarza Fraudemberga, z którym udało mu się z trudem skontaktować i dzięki niemu wydestać siebie, rodzinę i kilku znajomych z obozu. Wrócił w kierunku Krakowa, a tam — po wielu trudnościach z przekroczeniem granicy Generalnego Gubernatorstwa — znalazł się w rękach przyjaciół i znajomych. Krakowianie przygarnęli warszawiaków i opiekowali się ofiarami z płonącej powstańczej stolicy. Z Krakowa szlak tułaczy Pfeifferów prowadził do Piotrkowa, skąd jeżdżąc do Niemiec autor wspomnień próbuje dochodzić, gdzie i przez kogo został wywieziony majątek z jego warszawskiej fabryki. Odpowiednią dokumentację udaje się odnaleźć w Berlinie, ale nikt nie chce ani jej potwierdzić, ani rozmawiać o zwrocie czy rekompensacie.

#### Z WŁAŚCICIELA PRACOWNIK, ALE ZAWSZE JAK NA SWOIM

Czasy powojenne zajmują w pamiętniku 70 stron druku (na ogólną objętość stron 470; s. 405–474). Są to jednak dokumentalnie cenne wspomnienia w 1945 r. liczącego sobie już 57 lat wielkiego przemysłowca warszawskiego, który stracił wszystko, cały dorobek, a jednak nie załamał się, lecz z całą energią stara się o to, by móc w fabryce Temler i Szwede branży garbarskiej kontynuować swą profesjonalną pasję, nie bacząc na groźne polityczne konteksty tych starań. Nic nie pomogło, Zjednoczone Zakłady St. Pfeiffer oraz Temler i Szwede mimo fachowej obrony w 1945 r. upaństwowiono i nadano im nazwę „Warszawskie Zakłady Garbarskie, garbarnia nr 1”. Mimo porażki autor

wspomnień podjął pracę w tej państwowej już garbarni, gdzie przepracował do 1948 r. W tym czasie przeżył jeszcze aresztowanie w czasie pobytu w Łodzi w 1946 r. pod zarzutem działalności „na szkodę państwa”, przebywał w areszcie dni kilka w towarzystwie interesujących współwięźniów, aż do wyjaśnienia sprawy i uwolnienia z konkluzją, że zarzuty były niesłuszne.

Pfeifferowie mieszkali w Konstancinie, w swym wyremontowanym przedwojennym domu. Tam w 1949 r. zmarła nagle żona autora wspomnień, co mocno przeżył. W tym samym roku został on powołany jako wybitny fachowiec na stanowisko radcy w Ministerstwie Przemysłu u wiceministra Golańskiego, z takimi plenipotecjami, że „mogłem cały przemysł wyrzucić «do góry nogami», a szczególnie garbarski”. Autor wspomnień zdawał sobie jednak sprawę z ograniczeń systemu, z coraz większych nacisków politycznych, dlatego działał ostrożnie i pozytywistycznie, starając się przeciwstawić błędnym decyzjom, niekompetentnym czy nawet korupcyjnym umowom zagranicznym, czym oczywiście nie zyskiwał sobie sympatii wśród rosnącej nomenklaturowej biurokracji.

Szybko więc pożegnał się ze stanowiskiem radcy na rzecz pełnienia funkcji organizatora podkomisji 5 Polskiego Komitetu Normalizacyjnego w latach 1949–1951, a także w tym samym czasie kierownika Działu Skórzanego Centrali Prywatnego Przemysłu Konfekcyjnego i Skórzanego. Udzielał się także w latach 1951–1959 jako kierownik Działu Obuwia i Galanterii Skórzanej Instytutu Wzornictwa Przemysłowego oraz w latach 1953–1958 był rzeczoznawcą Działu Skór i Galanterii w Komisji Kalkulacyjnej Cen w Warszawie.

Od maja 1960 r. w wieku 72 lat przeszedł w stan emerytalny, ale podjął się pełnienia obowiązków zastępcy kierownika Działu Obuwia i członka Zarządu Spółdzielni Art.-Skór. Dopiero po ciężkiej chorobie w 1964 r. definitywnie przeszedł na emeryturę. Zmarł w 1969 r. w wieku 81 lat.

Celowo skrupulatnie wyliczam te obowiązki podejmowane przez Józefa Mieczysława Pfeiffera, ponieważ ta determinacja służby profesjonalnej dla kraju i społeczeństwa, bez względu na przeżycia, klęski, krzywdy, biurokrację, jest w tych wspomnieniach czymś niezwykłym, czymś fascynującym. To komunistyczne, w latach 1948–1956 zsovietyzowane w wysokim stopniu państwo polskie, które bez złamanego szeląga rekompensaty „znacjonalizowało” resztki jego wielopokoleniowego dorobku uratowane z wojennej pożogi, powinno być temu człowiekowi obce, obojętne, jeśli nie znieawidzone. Nic podobnego. Tego fachowca cieszyło wszystko, co pozytywne, twórcze w jego branży, którą traktował tak samo pieczołowicie i ekonomicznie jak własną ongiś fabrykę, wbrew przeciwnościom i władzy dyletantów.

Dla tej osobowości, mentalności, postawy zawodowej i charakteru znamienny jest fragment wspomnień z okresu pracy w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego, co zbiegło się z pięćdziesięcioleciem pracy zawodowej:

„Ostatni okres mojej tam pracy był dość przykry. Dostałem jako zastępcę osobnika, z którym trudno było się pogodzić. Zamiast pomagać — przeszkadzał,

a najprostszych rzeczy nie rozumiał. Spowodował, że została wyznaczona specjalna komisja do zrewidowania mojego działu, specjalnie norm wykroju. Stałem na stanowisku, że tylko ja jeden mogłem decydować, czy z danego towaru można robić wykroje czy nie. Przedstawiłem kalkulację, że moje posunięcia były słuszne.

Po zakończeniu pracy komisji i wyniku tej rewizji zwróciłem się do dyrektora z zapytaniem, co właściwie mi zarzucano. Otrzymałem odpowiedź, że jedyny zarzut był, iż prowadziłem ten zakład jakby swój własny. Właściwie nie był to zarzut, ale pochwała. Ponieważ stosunki z moim zastępcą były coraz gorsze, zrezygnowałem ze swego stanowiska i wystąpiłem z Instytutu Wzornictwa Przemysłowego.

W czasie mojej tam pracy obchodziłem 50-lecie mojej pracy zawodowej. W 1957 roku, zarząd i koledzy uczcili to bardzo miłą owacją. A minister Przemysłu Lekkiego, ob. Stawiński udekorował mnie Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W Instytucie pracowało mi się znakomicie. Dobrze dobrany zespół najbliższych współpracowników mego działu, dobrych fachowców stwarzał idealne warunki pracy. Z chwilą ustąpienia z Instytutu, 30 listopada 1959 roku, otrzymałem od moich pracowników namalowaną na kartonie różę z 27 podpisanymi i dedykacją: *Najlepszemu Kierownikowi, wspaniałemu człowiekowi, aby o nas pamiętał*".

Kwintesencją profesjonalnego myślenia i profesjonalnej pasji, przenikających te wspomnienia i stanowiących istotną treść życia autora, jest stwierdzenie: „Właściwie to nie był zarzut, ale pochwała”.

#### ZAKOŃCZENIE

Książkę wspomnieniową Józefa M. Pfeiffera wzbogacają: (1) cenne posłowie córki Haliny Pfeiffer-Milerowej napisane w październiku 2002 r., stara się ona wnieść pewne korekty rzeczowe do wspomnień ojca, z dużym pożytkiem dla tekstu, pisanego przecież przez starego i schorowanego człowieka, bez dostatecznej, zniszczonej przez wojnę dokumentacji; (2) bibliografia adnotowana dotycząca rodziny Pfeifferów i garbarni; (3) bogata ikonografia, fotografie; (4) indeksy nazwisk; (5) schemat rodowodu Pfeifferów.

Czyni to z tych dwu tomów dokument o niebagatelnym znaczeniu dla historyka (zwłaszcza specjalisty z zakresu historii gospodarczej Polski), socjologa, psychologa społecznego, a także filologa-pamiętnikoznawcy. Mamy oto autentyczną sagę rodu o genealogii niemieckiej, tak głęboko spolszczonego i patriotycznego w swych działaniach, nie w gestach i słowach, że wielu tzw. prawdziwych Polaków nie może się od pokoleń z jego przedstawicielami równać.

Nie mniej istotne jest odkrywanie w konkretach nie tylko ekonomicznej roli twórczej tej rodziny, lecz także jej funkcji społeczno-organizatorskiej i kulturotwórczej. I to pełnionej nie tylko w czasach względnej stabilizacji i pokoju, ale nawet w tak ekstremalnych warunkach, jak wojna i okupacja, powstanie

warszawskie, odbudowa kraju po drugiej wojnie światowej, PRL z biurokracją i niekompetencją wielu decydentów, indoktrynacją, nacjonalizacją i walką klasową.

Dla Józefa M. Pfeiffera liczyło się dobro branży pracującej dla dobra kraju i społeczeństwa. Nie był politykiem, nie cenił i nie lubił tej działalności, choć poznawał ją od podszewki, zwłaszcza w II RP, ale także w PRL, orientował się w jej zawiłościach. Cenił i kochał nade wszystko zawód i dobro ludzi, społeczeństwa, kraju rodzinnego, bardziej niż własność i bogactwo, czego dał jaskrawy dowód angażując się w imię tych wartości profesjonalnie w latach 1945–1964, czyli przez blisko dwadzieścia lat.

Wiadomo, że Józef M. Pfeiffer nie był odosobniony w tym swoistym „pozytywistycznym zdeterminowaniu” jako przedstawiciel „klasy zlikwidowanej” przez system komunistyczny. Na czym polega ten fenomen? W odpowiedzi na takie pytanie może waleń pomóc to cenne wspomnienie.

Przede wszystkim odsłania ono głębsze pokłady systemu aksjonormatywnego pamiętnikarza i jego środowiska rodzinnego, a także tradycji rodzinnych. Fundament tego systemu stanowią niewątpliwie imperatywy wysokiego profesjonalizmu i prestiżu firmy jako warunków poczucia obywatelskiej solidności i godności, wynikających z właściwego użytkowania własności dla dobra swego oraz rodziny i dla dobra wspólnego — kraju i społeczeństwa. Nie jest to już moralność mieszczańska w jej kanonicznym modelu Franklinowskim, analizowanym w znanej monografii Marii Ossowskiej, która opisuje wartości uniwersalne tego modelu, ale także mielizny i ograniczenia klasowe<sup>2</sup>. W Pfeifferowskiej wersji etosu polskiego burżua XX wieku, którego karierę w siódmym pokoleniu dotknęły dwie niszczycielskie wojny, istotne jest, że mimo iż stracił wszystko, zachował wartości najcenniejsze — etosowe. Nie załamał się wobec niszczącej fali historycznych katastrof.

Tak się złożyło, że w roku śmierci Józefa M. Pfeiffera w znanym miesięczniku „Problemy” (1969, nr 4) ukazał się szkic Marii Ossowskiej *Człowiek, którego cenimy*, w którym czytamy jak gdyby charakterystykę życia autora *Wspomnień warszawskiego przemysłowca*:

„W ostatnich latach okupacji byłem proszona o naszkicowanie wzoru obywatela w społeczeństwie demokratycznym, społeczeństwie, które pragnęliśmy w Polsce powojennej realizować. Gdy przyglądam się dziś temu wzorowi z perspektywy lat dwudziestu paru, porównując go z człowiekiem, którego dziś cenimy, nie widzę powodu wprowadzania do tego wzoru jakichś zmian zasadniczych. Teraz, jak w czasie dobiegającej do końca wojny, pragnęłoby się widzieć dookoła siebie ludzi z głową otwartą, z inicjatywą, umysłem samodzielnym i krytycznym, odwagą w obronie poglądów uważanych przez się za słuszne.

Tak jak poprzednio, potrzebni nam są ludzie o mocnym kręgosłupie, o pionie wewnętrznym, który nie chwieje się wraz z każdą zmianą wiatru. Decyduje o tym

---

<sup>2</sup> M. Ossowska, *Moralność mieszczańska*, Łódź 1956.

ponie wewnętrznym posiadanie jakiejś hierarchii wartości, do których się jest przywiązaniem i z których nie zamierza się łatwo rezygnować. Ich uparta obrona stanowi o postawie, którą nazywamy godnością.

Potrzebni są nam nadal ludzie wrażliwi na krzywdę i niezasłużone przywileje, ludzie, którzy spieszą innym z pomocą, gdy ci jej potrzebują, ludzie, którzy nie odwracają się od przyjaciół, gdy im się nie powodzi, którzy walczą, gdy zachodzi po temu potrzeba, obserwując pewne reguły gry, nie rzucając się we trzech na jednego i nie kopiać już pokonanych. Potrzebni są ludzie uczciwi wobec samych siebie i wobec innych; ludzie, którym się ufa; brak zaufania bowiem w obcowaniu z ludźmi, brak zaufania uzasadniony, czyni ze społeczeństwa społeczeństwo chore<sup>3</sup>.

Przypadek? Być może wskazuje on na pewne procesy prawidłowe, co moglibyśmy sprawdzić analizując zestaw różnych autobiografii polskich mieszczan, przedstawicieli burżuazji, w kontekście burzliwych dziejów XX wieku. Ten przypadek poddany tylko pobieżnej analizie zachęca do takiego wysiłku.

---

<sup>3</sup> M. Ossowska, *O człowieku, moralności i nauce. Miscelanea*, PWN, Warszawa 1983, s. 544–545. Ossowska pisząc o swej pracy z czasów okupacji o wzorze obywatela w społeczeństwie demokratycznym ma na uwadze „Wzór obywatela w ustroju demokratycznym”, TUR, Warszawa 1946.